

ŁOWIEC POLSKI

Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.

Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Ogólnego zbioru Nr. 164.

№ 2. | Warszawa, 16 stycznia 1906 r. | Rok VIII.

Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.



W ogrodzie.

WIKTOR STEPHAN.

KUROPATWA.

(*Ciąg dalszy*).

ROZDZIAŁ IV.

Polowanie. — Terminy polowania. — Polowanie z wyżłem. — Polowanie ławą, czyli t. zw. „sztrejfem". — Polowanie z naganką.

Myśliwi zaliczają kuropatwę do zwierza drobnego.

W odległej przeszłości polowali na kuropatwy jedynie dworscy ciurowie i t. p. Dziś, przy zupełnej zmianie warunków, polowanie na kuropatwy jest przeważnie pańską rozrywką, gdyż w obecnych czasach polowanie, jak każda zabawa, wymaga nakładu kapitału i pracy, którą trzeba płacić, a na to tylko zamożniejsi tego świata pozwolić sobie mogą.

Ogólnie można powiedzieć, że polowanie na kuropatwy należy do najłatwiejszych i odbywa się w przyjemnej porze roku, nie wymaga ani zbytniej ostrożności, ani wielkiego trudu; rutyny jednak nabiera się jedynie praktyką, więc trudno w książce o tej sprawie pisać, każdy myśliwy bowiem poluje na swój sposób.

Z drugiej strony wykonanie polowania uważane być musi jako bardzo ważny czynnik pomocniczy hodowli, więc w tym duchu polowanie pokrótce opiszę.

W naszym kraju ustawa z r. 1871-go zezwala polować na kuropatwy od połowy sierpnia do końca lutego, a zatem sześć i pół miesiąca, czyli więcej, niż pół roku. Że taka swoboda polowania musi ujemnie wpływać na hodowlę, dowodzić niema potrzeby, bo chociaż stosunki w tym kierunku postępują z roku na rok ku lepszemu, to w każdym razie w obecnej chwili mamy więcej myśliwych-strzelców, aniżeli myśliwych-hodowców. Dla pierwszych zatem ściślej ustawą zakreślone ograniczenie byłoby bardzo pożądane. Są kraje, jak np. Alzacya i Lotaryngia, w których terminy rozpoczęcia i ukończenia sezonu polowań z roku na rok ustanawiają się i publikują.

Jestto z wielu względów, które każdy myśliwy rozumie, odpowiedni system i godny naśladowania, a w każdym razie lepszy, aniżeli niewolnicze przepisy, które nie uwzględniają potrzeb, spowodowanych okolicznościami nieprzewidzianemi. Ustawa raz wydana i zatwierdzona obowiązuje następnie 30 lub 50 lat bez względu na zmiany chwilowe lub ogólne.

Dalej są także kraje, jak np. w. ks. Weimar w Saksonii, w której, widząc upadek łowiectwa, ochraniają kuropatwę ewentualnie cały rok. Dla porównania z naszą ustawą podaję poniżej tabelkę kilku krajów, z której widać, że pod względem ochrony kuropatw stoimy w tyle za innymi.

Wobec powyższej ustawy, nie można się dziwić, czytając o świetnych wynikach polowań gdzieindziej; w naszym kraju ustawa za mało ochrania kuropatwy.

Zapewne, że myśliwi-hodowcy zgoła ustawy nie potrzebują, ci bowiem już teraz zupełnie nieskrępowani, polują jedynie we wrześniu i w październiku; nie dla tych jednak istnieje ustawa. Ustawa potrzebna jest dla tej większości, która nie zdaje sobie sprawy z wadliwego postępowania; musi zatem, jak każda ustawa, wyprzedzać ogólny postęp.

Zwyczaje, charakter i sposób życia kuropatw wytworzył następujące metody polowań.

1) Polowanie z wyżłem,
2) " sztrejfem;
3) " z naganką.

Polowanie opiszę jedynie na polach, jako głównej siedzibie kuropatw, co zresztą odnosić się może do zarośli, zrębów, lub kultur, gdyż siedziba kuropatw nie wpływa tak dalece na wykonanie polowania.

W drugiej połowie sierpnia, a zatem po głównych żniwach, rozpoczyna się sezon na kuropatwy. Z wyżłem wychodzi się zwykle około godz. 10-ej rano, a właściwie wtedy, kiedy już rosa obeschła. Chwili tej wyczekuje się nie dlatego, aby się nie zarosić, ale dlatego, że do tego czasu zwykły kuropatwy przebywać na podorywkach, ugorach i t. p. otwartych miejscach, na których nie dotrzymują dobrze, t. j. wyciekają lub burkają całem stadem, co wielce utru-

OBRAZEK
z życia petersburskich myśliwych.

Pan Stefan, z pochodzenia Litwin, a dość znaczny urzędnik jednego z ministeryów w Petersburgu, był wielkim zwolennikiem wszelkiego myślistwa, a szczególniej *con amore* traktował polowanie na grubszego zwierza. Miał on na sumieniu kilka już niedźwiedzi, których skóry upiększały jego pracownię, oprócz tego był amatorem broni i uchodził w bliższem kółku myśliwych, nawet za prawdziwego znawcę.

Pewnego zimowego wieczoru, zaproszony został na koleżeńskiego wincika, późno więc powrócił do domu, i niewątpliwie spałby jeszcze dłużej, gdyby nie wejście służącej, trzymającej jakiś świstek w ręku.

— A co tam?

— List, a raczej kartka w pilnym interesie.

— A mróz duży?

— Nie patrzałam, może jest ze dwanaście lub piętnaście stopni.

— Napalić na kominku.

Pan Stefan obojętnie wziął kartkę i powoli począł odcyfrowywać pismo, niewprawnie kreślone. Naraz z łóżka, jak z procy, wyskoczył, podbiegł do okna, przetarł oczy i ze zmarszczonemi brwiami, powoli nawpół głośno czytał: *„Tak szto opowieszczaju twoju miłost, rozyskał ja mierłog, po twojomu, barin, prikazu. Prijeżżaj nonczeże, a nie prijedesz, zawtra sam brat' budu z kumom Iwanom. — izwiestnyj tebie błagoprijatel ohwotnik Fedor"*.

— Wyraźnie donosi o niedźwiedziu, ale pałką daj w łeb, nic nie wiem, co to za jeden ten Fedor i gdzie przemieszkuje?

Tak zaintrygowany p. Stefan, kolejno przebiegał myślą wszystkich okolicznych chłopów, z którymi kiedykolwiek łączyły go stosunki myśliwskie, ale takiego Fedora w żaden sposób przypomnieć sobie nie mógł, więc zniecierpliwiony przycisnął guzik od dzwonka.

— Kto przyniósł tę kartkę?—spytał służącej.

— Jakiś chłop.

— Gdzie on jest?

— Przyszedł o godz. ósmej, ale jak się dowiedział, że pan dopiero o dziesiątej wstanie, to dał mi tę kartkę, która ma być w bardzo pilnym interesie, a sam, spiesząc się na pociąg z powrotem, powiedział tylko, że na odpowiedź czekać nie może, i wyszedł. Ale to chłop głupkowaty, bo ani pani, ani ja, nie mogłyśmy się z nim dobrze rozmówić.

Pan Stefan wpadł w prawdziwą rozpacz, i to w rozpacz tak czarną, że istotnie godzien był pożałowania; nawpół nieprzytomny chodził tylko po pokoju, usiłując koniecznie przypomnieć sobie tego taje-

dnia polowanie. O kuropatwach, które dadzą się blizko podejść, mówią myśliwi, że „leżą twardo“.

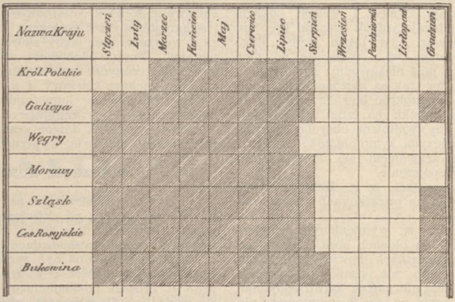
Pojedyńczy myśliwy wychodzi z wyżłem w pole bez osobliwych do tego przygotowań, gdyby jednak odbyć się miało polowanie na większym terenie w kilku myśliwych, to w takim razie należy z brzaskiem dnia kuropatwy wysłuchać, a zaraz potem spędzić stadka do okrytych pól, jak marchew, buraki, ziemniaki, koniczyna i t. p.

Z wyżłami może polować jednocześnie na dalek gorąca psy mają zły wiatr i tem samem tego dużo strzelanych kuropatw może przepaść. W czasie południa kuropatwy zwykle na mokrych łąkach kamieniem dolegają.

Jeżeli psy szukają krótko, to i odstęp myśliwych musi być mniejszy, i odwrotnie.

Pola przekładać zawsze w poprzek zagonów i pod wiatr, wówczas kury lepiej dotrzymują.

Wyżła nigdy nie wypuszczać daleko, bo może kury wyparować, czyli spłoszyć za daleko, lub jeżeli



Kalendarz myśliwski. (Pole czarne oznacza czas ochrony).

nym terenie 3 lub 4 myśliwych, którzy zwykle wycierają, czyli przeszukują pole raz koło razu w równej linii. Większa liczba myśliwych nie jest godna zalecenia, bo psy ich przeszkadzałyby sobie nawzajem.

Do zbiorowych polowań muszą być dowodne psy, bo jeden zły wyżeł będzie psuł robotę drugim i więcej narobi niezadowolenia, niż przyjemności.

Przez najgorętszy czas, t. j. od g. 1-ej do 3-ej po południu, lepiej jest zaprzestać polować, bo wskuza daleko je wystawi, to one zwykle wyciekają, zanim myśliwi do nich na strzał podejdą, a tymczasem można przeoczyć kilka stadek i wcale ich nie ruszyć.

(C. d. n.).

---

mniczego Fedora, a tymczasem pamięć jego, jak na złość, odmawiała mu posłuszeństwa. Naraz stanął, jak wryty, w czoło się dłonią uderzył, bo nagle przyszło mu do głowy spotkanie, jakie miał w sierpniu zeszłego lata, kiedy on podczas niesłychanego upału, w samo południe, ustający od zmęczenia, cały potem oblany, z wyschniętem gardłem, wlókł się, ledwie nogami przebierając, wśród lasu po mchowem błocie, obciążony kilkunastoma pardwami. Gdy myślał, że mu już sił nie starczy do wydostania się z tego przykrego położenia, nagle usłyszał po za sobą śpiew intonowany chrypliwym głosem, i gdy się obejrzał, dostrzegł niewielką figurkę o twarzy ospowatej i porośniętej lichą, ryżą bródką.

— Tak, to on, Fedor, z tej nędznej wioski Mchy, wśród błot i lasów położonej! Nie pojmuję, jak mogłem o nim zapomnieć?—Obejrzał się z wyraźną trwogą na drzwi, prowadzące do sypialni, rzucił pospiesznie kartkę w płomienie kominka, a gdy ta do szczętu się spaliła, odetchnął głęboko, jakby wielki ciężar spadł mu z serca, i gorączkowo zabrał się do ubierania. Herbatę wypił duszkiem, w czoło żonę pocałował i przybrawszy, jak mógł, obojętną minę, oświadczył, że na obiedzie nie będzie, tylko drugie śniadanie niechaj punktualnie podadzą o pierwszej, bo wyjeżdża na łosie, a nie chciałby się spóźnić na pociąg.

Pan Stefan kazał się zawieźć do biura, ze szuflady wyjął jakieś papiery, podpisał je i oddał woźnemu. Zarzucił palto na plecy, wypadł na ulicę, kiwnął na sanki i pojechał do składu broni Weniga dla kupienia ładunków do ekspresu z kulami ekspansywnemi.

Powróciwszy do domu wyjął z kuferczka prawdziwego Springera, zabrał się do przecierania luf, a gdy je ku oknu skierował dla przekonania się o ich czystości, weszła żona.

— Mnie się coś wydaje, że ty, kochany Stefanie, nie na łosie jedziesz? Ach Boże mój, Boże, jaka ja nieszczęśliwa! Stefanie, ja cię proszę, zaklinam na wszystkie świętości, nie jedź, pozostań! Mnie strasznie przerażają te okropności. Przecież pomyśl, że masz żonę, dzieci, które mogą łatwo zostać sierotami! Tak przemawiała, zalewając się łzami, pani Zofia, jeszcze przystojna, trzydziestoletnia blondynka.

— A niechaj licho porwie! — daj że mi raz już święty spokój, — czy chcesz abym ukląkł i uroczystą złożył przysięgę, czy co u djabła?

Po kilku minutach milczenia, pani Zofia, powodowana prawdopodobnie smutnem doświadczeniem, że przysięgi pijaka i obietnice myśliwego nie wiele bywają warte, podeszła do biurka i starannie zaczęła przepatrywać papiery, jakby czegoś szukając, co zauważywszy mąż, z niecierpliwością ofuknął:

— Przestań przewracać moje papiery!

— Drogi Stefanie! wybacz, że ci powiem otwarcie, żeś mnie nieraz okłamywał, daj mi teraz uroczyste słowo, że nie jedziesz na niedźwiedzia, tylko na łosie.

— Dwadzieścia, pięćdziesiąt, wreszcie sto tysię-

Jak leczono psy sto lat temu.

(Ciąg dalszy).

Wymienione dopiero symptomata, nie zawsze się okazują jednostajnie u każdego psa: albowiem niektóre bywają tak smutne, cierpiące nudę aż do womitów, w chodzeniu chwieją się i na nogach długo stać nie mogą. Inne bywają żwawe i wesołe, pokarm i napój przyjmują, podlegają jednak czasami kręceniu głowy, drganiu członków, i w takim stanie długo przebywają. Albo bywają też i takie, że od nich w przeciągu 24 godzin pies niezawodnie zdycha. Początki tych symptomatów tak są nieznaczne, że prawie trudno rozeznać; częstokroć bowiem pies w polu pracuje i jest zupełnie rzeźki; na drugi dzień zostaje już napadnięty przez tę gwałtowną chorobę, bez żadnych nawet poprzedniczych symptomatów; wówczas raptownie kaszla, ze zrywaniem się do wymiotów, i przeraźliwe okazuje spojrzenie.

Nosacizna w tej postaci w r. 1821, w wielu psiarniach po miastach i na prowincyach znaczne poczyniła szkody.

Siedlisko nosacizny w wymienionych dopiero symptomatach, słusznie na błonach nosa i głowy naznaczyćby można, w początkach bowiem wilgoć klejowata zatyka otwory nosa, nie przepuszcza przezeń powietrza, przez co pies, nie mogąc łatwo oddychać, sili się i przeraźliwie sapie, od tego to symptomatu niektórzy chorobę tę sapką przezwali. Lecz zapalenie stopniowo coraz się gwałtowniej powiększa, nakoniec dochodząc do mózgu, rychło w organie rozprzestrzenia swe skutki i niszczy najszlachetniejsze jego części tak dalece, że pies przy chrapliwem skomleniu i szarpaniu pyska nagle ginie.

Niepodobna naznaczyć przeciągu czasu, do wyleczenia potrzebnego, ani z pewnością rokować, gdyż zdarza się niekiedy, że z nosacizny psy wychodzą, lecz czasami i giną. Gdy choroba najłagodniej swój bieg odbywa, i dobre ma zejście, w kilka dni przychodzą psy do zdrowia; niemające zaś pomyślnego biegu, nie prędzej, aż po trzech tygodniach. U których choroba przeciągnie się do kilku miesięcy, stają się niepodobne do wyleczenia, a tem więcej, gdy osłabienie aż do zachwiania członków posunięte.

Przyczyny tej choroby mało są docieczone, to tylko wiadomo, że psy w miastach i psiarniach myśliwskich utrzymywane, więcej podlegają nosaciźnie, aniżeli proste kundle, lub wolno chodzące.

W dysekcyi psa nosatego, zdechłego w peryodzie kręcenia się, czyli zawrotu głowy, znajdowano błonę zaskórną czerwoną i rozdętą, naczynia mózgowych błon (*menynges*) napełnione krwią czarną i zepsutą; płuca w takim razie bywają zatkane materyą śluzowatą; żołądek, wnętrzności i kiszki zmarszczone i ściągnięte; wyrzut połączony z kawałkami żółci, która z wejrzenia jest jakby skorupa wyschła, z lepkiej materyi. Wyrzut odchodowy w kawałkach twardych, krwią połączonych, w których znajdują się czasami i glisty. Pęcherz żółciowy i wątroba bywają mocno wydęte i napełnione humorami chorobnemi, niekiedy aż do pęknienia, a znajdująca się żółć w pęcherzu żółciowym, jest tak dalece gęsta, iż za najmniejszem pociśnieniem zaledwie, wypłynąć może.

Leczenie nosacizny

Skoro się spostrzegą u psa pierwsze symptomata tej choroby, trzeba go najspieszniej odłączyć od zdrowych. Pierwszego dnia zrana dać na próżny żołądek lekarstwa, womity wzbudzające (30 gran. Ipekakuany); ta proporcya powinna być rozdzielona na połowę dla psa średniej wielkości, t. j. gran. 15; dla szczenięcia gran. 8. Proszek pomienionego korzenia rozprowadza się wodą. Sposób wlewania psu lekarstwa w gardło, jest następujący. Człowiek, mający przytrzymać psa, dla zabezpieczenia rąk, wkłada rękawice skórzane, grube; usiadłszy, powinien między swe kolana oburącz trzymać psa za szczęki, tak jednak, aby pysk otwarty, był do góry obrócony. Natenczas drugi przygotowane lekarstwo wlewa do gardła; pomienione położenie głowy nie powinno się zmieniać, dopóki pies nie połknie. Znagla, a nawet ułatwia połknienie, łechtanie palcami około gardziela, lub pociągnienie ręką wzdłuż szyi. Dawanie na wymioty wstrzymuje rozlanie się żółci do kanału pokarmowego. Drugiego dnia zrana przed nakarmieniem daje się na laksę dla młodego psa pół drachmy, a dla starego i mocnego całą drach-

---

cy dać mogę słów, tylko, na miłość boską, pozostaw mnie w spokoju! — i zerwawszy się z fotela, jak furyat, począł szybko biegać po pokoju i wymachywać łufami.

Pani Zofia dotknięta niezbyt parlamentarnem obejściem męża, wyszła, a znalazłszy się sama w pokoju sypialnym, tak poczęła rozumować: — To nie może być, aby on wybierał się na łosie, żałuję, że nie mogłam przeczytać tej przeklętej kartki; chłop, który ją przyniósł, mówił, że pisaną jest w sprawie „merlogi", pytałem służącej, ale i ona nic więcej nie wie, wszelako przeczucie mi powiada, że to wcale o łosie nie chodzi.

Gdy p. Stefan o drugiej godzinie, ubrany już po myśliwsku, żegnał się z dziećmi i żoną, wtedy ona jeszcze raz postanowiła spróbować dowiedzenia się prawdy.

— Stefanie, czy tylko naprawdę?

— Tfu — splunął, i słowa nie wyrzekłszy, pobiegł tak szybko po schodach, trzymając w ręku kuferek z bronią, że służąca, niosąca za nim koszyczek, zaledwie podążyć mogła. Rzucił się machinalnie w sanki, otulił dochą i rozkazał wieźć się na stacyę kolei żelaznej.

Przez cały czas, zanim pociąg ruszył, ogarniał naszego myśliwego jakiś dziwny niepokój, wydawało mu się bezustannie, że każdej chwili może ujrzeć wchodzącą żonę, która go zatrzyma, nie pozwalając mu jechać do tego poczciwego Fedora. Dopiero, gdy usłyszał świstek nadkonduktora i uczuł pierwsze drgnięcie wagonu, odetchnął swobodniej i zabrał się do szczegółowego przeglądu koszyczka, azali z pośpiechu czego nie zapomniał. Następnie ułożył wszystko starannie i umieściwszy koszyczek na półce, zapalił cygaro, oddając się w zupełności marzeniom o wrażeniach, jakie go w dniu jutrzejszym miały oczekiwać. Naraz drgnął tak nerwowo, że mu o mało cygaro z ręki nie wypadło, bo przyszło mu na myśl, że ze stacyi do wioski Mehy jest jeszcze siedmnaście wiorst i że łatwo może nie znaleźć koni do przebycia tej drogi. Więc chcąc się co do tego w zupełności zapewnić, postanowił zaraz z pierwszej stacyi wysłać depeszę do zawiadowcy z prośbą o wynajęcie furmanki.

O godzinie dziesiątej w nocy, jak zwykle, opóźniony pociąg podjechał do stacyi, a p. Stefan, trzymając w jednej ręce pudełko ze sztucerem, a w drugiej koszyczek, raźnie wyskoczył na platformę, upatrując zawiadowcę, którego czerwona czapka migotała pomiędzy uwijającymi się pasażerami. Okazało się, że konie wynajęte zostały, co go tak uradowało, iż o mało nie rzucił się na szyję grzecznego urzędnika, i tylko dzięki silnej woli, ograniczył swoją radość na uścisku dłoni i słowach serdecznego podziękowania. Teraz już był pewny, że będzie mógł nareszcie dojechać do upragnionego celu.

Didko.

(C. d. n.).

mę proszku korzeni *Jallappy*, połączonej z żółtkiem jaja, a później rozprowadzonej w kwarcie wody i cokolwiek miodem zasyconej. Albo zamiast jalapy, bierze się stosownie do siły psa, dwa lub trzy luty angielskiej soli. Tak pierwsze, jako drugie lekarstwo laksujące, dawać psu przez dzień, póki nie ustanie płynienie materyi z nosa i oczu. Gdy to jest w porze cieplej zostawić psa na dziedzińcu dla przebiegania się, utrzymując go na dyecie. Także zamiast jadła zwyczajnego, dawać „pojło", zrobione z mąki jęczmiennej, lub owsianej, dobrze rozmieszanej w kwarcie wody wrzącej, i przecedzonej przez rzadkie płótno. Gdyby pies sam nie jadł „pojła", wlewać je trzeba sposobem tym, jak się już opisało przy wlewaniu. Za napój dobrze jest dawać psu serwatkę, albo wodę przegotowaną i miodem zasyconą. Trzeciego dnia znowu dać na wymioty, jak pierwej, a zamiast Ipekakuany, można użyć korzenia kopytniku *(Azarum europeum)*.

(*C. d. n.*).

PAMIRY.

(Z niemieckiego).

Przez **Wł. Czerniejewskiego**.

(Dokończenie).

Wybieramy dogodniejsze miejsce dla spoczynku, posilamy się suchą strawą i ruszamy żółwim krokiem naprzód. Teraz coraz więcej strome napotykamy skały, gęściej tu rozsiadłe; pochód uciążliwym się staje, pot zalewa oczy, nogi ledwie podnosimy. Tragarze już tylko na czworakach pełzają. Często przystajemy, ja zaś co chwila przykładam lunetę do oczu, by się upewnić o liczbie ludzi i zwierząt. Naraz przeraźliwy odgłos trąbki Hakima Beja, któremu powierzyłem obserwowanie lawin śnieżnych, daje nam znać o grożącem nam nieszczęściu. Każdy zamarł z przerażenia i oczy zwróciły się ku wznoszącej się przed nami, górze. Śnieżyca dość wielka, by zmiażdżyć całe wsie i miasta, w naszych oczach odrywa się od skał i podnosząc olbrzymie tumany kurzawy śnieżnej, rwąc i miażdżąc wszystko na swej drodze, z nieopisanym, szybkim hukiem i łoskotem stacza się o kilkadziesiąt metrów od nas w nieskończoną przepaść. Długo w niemem osłupieniu staliśmy i długo jeszcze huczało i grzmiało w dalekich dolinach. Opatrzność nas ostrzegła tym razem od niechybnej zagłady. Ochłonąwszy z przerażenia, postępujemy dalej, a podciągając coraz częściej muły i konie na linach, dosięgamy granic wiecznych śniegów. W wielu miejscach grube ich zaspy tworzą rodzaj mostów, łączących pasma gór z sobą. Ułatwia to podróżnemu przejście dolin, a podróż staje się wysoce niebezpieczną. Miejscami natrafiamy na śnieg miękki, pogrążamy się głęboko i z trudem wydostajemy się z niego. Ulug Bej zapada się na kilka metrów z mułami, i wydobycie jego kosztuje nas wiele wysiłku nadludzkiego i straty bardzo drogiego czasu. Często przechodzimy pod masami wiszącego nad nami śniegu, czujność zwracać teraz musimy nietylko na drogę, lecz i na grożące nam niebezpieczeństwa z góry, gdzie łatwo mogliśmy być zasypani. Chłód tu przejmujący w tych śnieżnych rozpadlinach, oddech ścina mróz, a lejący się strumieniem pot zamarza na nas, przytem uczuwamy brak powietrza, pierś szybciej funkcyonuje. Co chwila przystajemy, inni przysiadają lub czołgają się na czworakach. Co chwila tracimy kierunek i nowych dróg szukać musimy. Z nastaniem nocy szukamy równiejszego miejsca i rozkładamy obóz, a po nędznej wieczerzy, z kilku szklanek gorącej wody złożonej i suchej trochę strawy, owijamy się w dery i kożuchy, i zasypiamy twardo na wysokości 17,000 stóp przy 14-stopniowym mrozie. Ciśnienie powietrza pokazuje 400 milimetrów.

W tym pamiętnym dniu przeszliśmy 1,000 metrów zaledwie, lecz w następne już tylko mieliśmy przechodzić po 1,000 stóp, czyli robiąc po 23 metry na godzinę. O godz. 3-ej rano porzucamy twarde nasze legowisko i puszczamy się w dalszą podróż po mocno zmarzłym śniegu. W wielu miejscach musimy opuszczać się na linach, podtrzymując się wzajemnie; wyżłabiamy w twardym śniegu schody, by ułatwić spuszczanie się zwierząt, i dziś jeszcze jest dla mnie zagadką, jak te biedne zwierzęta wytrzymały tę podróż i jak szczęśliwie cało z niej wyszły. Gdy słońce przypiekać poczęło, robota stała się jeszcze trudniejszą, a ślizgawica taka wielka, iż wzajemnie musieliśmy się podtrzymywać, by uchronić się od stoczenia w rozpadliny. Tak posuwając się, popołudniu stanęła moja ekspedycya na szeroko rozciągającej się, falistej, jak zamarzłe, wzburzone morze, równinie. Dziko, pusto i strasznie tu, nic, prócz zasp śniegu, nagich kup kamieni lub bezkształtnych mas lodowców, wokoło nie widać; opanowywa chęć wzlotu po nad te martwe pola, które tak przygnębiająco oddziaływają na podróżnika.

Już dawno ostatnie światło zachodzącego słońca zniknęło z horyzontu, ciemność nocna szybko zalegać zaczęła, gdyśmy stanęli w sferze lodowców. Radość opanowała mnie tak wielka, iż pomimo całego zmęczenia i wyczerpania sił, miałem ochotę dalej maszerować, lecz mój obóz zgodzić się na to nie chciał i po spożyciu reszty naszych zapasów i wypiciu kilku szklanek gorącej wody, legliśmy, i nie zważając na 18-stopniową temperaturę mroźną, spaliśmy głębokim snem do 2-ej w nocy. Mimo ciepłych der i kożuchów, członki zesztywniały nam i chwilowo odmawiały posłuszeństwa, i dopiero po użyciu gorącej wody, przyszliśmy do siebie i dalszą podróż rozpocząć mogli. Kroki nasze po kilkomilowej wokół przestrzeni lodowej, metalicznym dźwiękiem odbijały się, i raźnie posuwaliśmy się w górę. Co chwila to tu, to tam, rozlega się huk pękających lodowców. Stajemy, jak wryci, nikt nie śmie słowa wyrzec, lecz strach mija szybko i pochód przedłużamy. Idący przodem moi ludzie, sondują lód długiemi koszturami. „Stój, stój! — wrzeszczy przewodnik —, rozpadlina przed nami". Ostrożnie na brzuchach podciągamy się do jej skraju, zaglądając w jej otwór, przerażenie nas ogarnia na widok tej, okiem niezmierzonej przepaści. Rozpadliny te nie są na szczęście szerokie i do ich przejścia używaliśmy owych pęków łóz, z sobą zabranych. Szybko idzie robota związywania i splatania pęków. Przerzucamy improwizowany tak most przez rozpadlinę i po jednemu, czołgając się na brzuchach, przechodzi kilku ludzi na przeciwległą stronę i podtrzymując drugi koniec mostu, pomaga przeciągać powiązane konie i bagaż. Wreszcie i ja przepełzłem otchłań i staję na drugim jej skraju. W podobny sposób załatwialiśmy się przy przejściu innych kilku rozpadlin, aż dotarliśmy do wysokiej na 50 stóp, ściany lodowej, zagradzającej nam drogę w zachodnio-wschodnim kierunku, a ciągnącej się na daleką przestrzeń. Jestto ostatni i największy grzbiet pamirskich olbrzymów, wysokości 18,200 stóp ponad powierzchnią morza wznoszących się. Słynny podróżnik, Szwed, Swen Hedin, nazywa go „dachem świata". Teraz przeliczam moich ludzi i z przerażeniem zauważam brak jednego, przeliczam powtórnie — 35, koni 5 i 2 muły. Biegniemy do ostatniej, największej rozpadliny, lecz daremnie staramy się przedrzeć okiem jej piekielną głębię, nawoływania nasze i trąbienia pozostały bez odpowiedzi. Nasz tragarz kotłów i naczyń bezpowrotnie zginął w jej otchłaniach. Z ciężkiem sercem, przygnębiony powróciłem do obozu, gdzie raźno wzięliśmy się do roboty. Najzręczniejszy, robiąc schody w ścianie, wdrapał się na jej ostry grzbiet, za nim inni, po-

tem bagaż i konie wciągnięto i po kilkagodzinnej pracy wszyscy już stanęliśmy na wierzchołku grzbietu, którego północna strona na niewielkiej przestrzeni była pokryta lodowcem. Widok tu był tak piękny i porywający, iż długo oczu oderwać nie mogłem od mas, tęczowemi barwami połyskujących lodowców, tysięcy czarnych szczytów granitowych, falistych, surowych płaszczyzn, białych pól śnieżnych, ciemnych i ponurych rozpadlin, czarnych otchłani, srebrzystych strumieni, modrych jezior i pieniących się wodospadów. Nad całym tym ogromem panował spokój i przerażająca cisza. Lecz długo napawać się widokiem nie można, oczy, mimo ciemnych okularów, uczuwają zmęczenie, ból niewypowiedziany, a całe ciało doznaje kłujących bóli. Jak wspomniałem, północna strona mało była pokryta lodami, za to więcej spadzista, i tylko podtrzymywani linami, mogliśmy się spuszczać z tarasu na taras. Przy tej operacyi musieliśmy zawiązywać nogi zwierzętom i, zarówno jak bagaż, przeprawiać. Dziś jeszcze trudno mi pojąć, jak te biedne stworzenia wytrzymały tyle trudów przy tak mizernem pożywieniu.

Czwartego dnia krwawej tej przeprawy, stanęliśmy poniżej śnieżnych pól w okolicach odkrytych skał, mchami już porosłych. Tuśmy spożyli resztki zapasów cukru z gorącą wodą, innych nie mając, a przenocowawszy pod występem skał, szybciej dalszą odprawiali drógę. Zwalczywszy śnieżne lawiny, olbrzymie lodowce, obecnie mamy przed sobą drogę stromą. Co chwila przerzyna ją potok, niezgłębione otchłanie co chwila tamują nam pochód, a szumiące i rwące na ich dnie, wody przestraszają nas swą tajemniczością. Piątego dnia dosięgamy granic roślinności i pierwsze spotykamy ptaki. Udało mi się z Hemrakalem ubić około 35 sztuk ptactwa różnego rodzaju, co na dziś dostateczną nam stanowiło kolacyę. Nazajutrz pierwsze ujrzeliśmy osady ludzkie i radości naszej granic nie było. W uroczych dolinach tych stron spotykamy liczne laski, zielone łąki, wspaniałe ogrody. Z fuzyą w ręku idę przodem mej karawany i obfitość gołębi, kuropatw (*Perdix chukar* i *Caccabis rufa*), oraz bażantów i frankolinów, dostarcza mi przyjemności i pożywienia mym ludziom. Odtąd już nie cierpimy ani głodu, ani pragnienia; karawana posuwa się raźniej.

Wieczorem stanęliśmy w mieście Kala i Wandj, przed domem owego Beja, a wkrótce spożywałem z apetytem obfitą wieczerzę i słodkie owoce, wsłuchując się w szum pieniących się z wściekłością, wód zdradzieckiego Wandj. Istny tu raj ziemski, lecz tak trudny do osiągnięcia.

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.

(*Ciąg dalszy*).

Bazarom kolombijskim i wogóle całemu obrazowi ulicznego życia i ruchu, brak oryentalnego kolorytu, bogatych składów pysznych wyrobów krajowych i tej niesłychanej różnorodności ciekawych typów rozmaitych ras i narodowości z całej Azyi, właściwych indyjskim metropoliom, z których szczególniej Bombaj słynie niezrównanem ożywieniem swych zasobnych bazarów i tłumnych ulic w dzielnicy krajowców.

Niema tu pysznych świątyń, złocistych pagód, arcydzieł architektury z ubiegłych wieków, ani wyniosłych pałaców dumnych Rajachów. Sielankowo tu wszystko wygląda, jakby wieś ogromna i ludna, w cieniu rozległych ogrodów i gajów ukryta.

Jedną ma właściwość Colombo, i Cejlon wogóle, którą góruje nad wszystkie niemal inne krainy, i której słusznie miano „rajskiej“ wyspy, tej „najdroższej perły w dyademie Hindustanu“, zawdzięcza: jest to niezrównane bogactwo niezrównanej i cudnej wegetacyi.

Ani pióro, ani pendzel nie są w stanie dać należytego pojęcia o roślinności, jaką tu od pierwszego kroku na brzegu wyspy podróżny spotyka i która go już nie opuszcza czy to w przejażdżce po ulicach wielkiego miasta, wijących się wśród klombów i gajów cudownych, czy w dalszych wycieczkach w głąb wyspy aż do granicy górskich regionów lub do kresów dzikiej dżungli.

Najpiękniejszą częścią miasta jest dzielnica, zwana Colpetty, ciągnąca się na południe od Fortu, nieprzerwanym szeregiem najśliczniejszych ogrodów, wśród których rozrzucone, ładne wille, stanowią ulubione mieszkanie ludności europejskiej i zamożnych tubylców.

Tu leżą ogrody, zwane cynamonowemi, do uprawy rośliny tego nazwiska, a raczej korzenia, którego sprzedaż była do niedawna monopolem rządu angielskiego.

W pobliżu tych ogrodów wznoszą się najładniejsze wille w otoczeniu wyborowej flory, cudnych drzew i kwiatów.

Z pierwszych najliczniej jest reprezentowana palma, ta królewna drzewnej flory, w wielu różnorodnych gatunkach.

Najpospolitszy rodzaj, to palma kokosowa, dobrodziejka uboższej ludności krajowej, która wszystkie jej części składowe umie dla siebie spożytkować, i której częstokroć kilka pni tego drzewa jedyny stanowi dobytek.

Obok niej wznosi się smukła „areca“ (Areca catechu), porównana przez poetów krajowych do strzały, z nieba zesłanej; owoc jej, kształtu małego orzeszka, jest ulubionym przysmakiem Syngalezów.

Dalej pożyteczny Kittul (Caryota urens), z którego soku słodkiego wyrabiają cukier i napój, do wina podobny,—wreszcie palma Palmyru i wiele innych rodzajów, na których wyliczenie brak mi miejsca i znajomości.

Rozłożyste drzewa chlebowe (Artocarpus integrifolia), których owoc ogromny z pnia wyrasta i jakby do niego przyczepionym się zdaje, wspaniałe mangosy, dziwne drzewa bawełniane (Bombax), śliczne banany (Musa sapientim), których owoc jest równie smaczny, jak pożywny, wysokie aroidy o olbrzymich liściach w formie strzały, tworzą dach najpyszniejszej zieloności we wszystkich odcieniach tego koloru, równie nad mizerną chatą ubogiego Syngaleza, jak w starannie utrzymanym ogrodzie nad elegancką rezydencyą majętnego Anglika.

Pomiędzy tą zielenią dziwnie odbijają czerwone ulice i drogi miejskie, których barwa jasno-ceglasta od metalicznych zawartości tutejszej ziemi pochodzi.

Oddzielną część miasta stanowi dzielnica, zwana „Wyspą niewolników (Slav-island) — miano, zapewne datujące się z dawnych portugalskich, lub holenderskich rządów. Widok ztąd na otaczające jeziora, pokryte białym, lub różowym kwieciem lotosu, do najładniejszych w Colombo należy. Nad jego brzegami troskliwie utrzymywane ogrody tworzą jakby jeden park olbrzymi, w którego zieleni jaskrawe klomby kwiatów, malowniczo rozrzucone wille i dworki, oraz daleko, na kraju horyzontu widniejący łańcuch szczytów górskich, w głębi wyspy się wznoszący, składa się na czarowny obraz, jakby wycięty z opisu jakiejś fantastycznej krainy, z Tysiąca i jednej nocy.

Naprożno siliłbym się wyliczyć i opisać to bogactwo kwiatów, które z najwyższym kolorytem wszystkich tęczy odcieni, jakby w olbrzymiej cieplarni, rosną w zadziwiającej bujności na każdym niemal kroku, kędy okiem rzucisz.

Fioletowe i niebieskie Thunbergie, ognisty kwiat akacyi, śliczne lilie (rubiaceae, aristolohie), tysiące lian i powojów różnobarwnych i wiele innych, cudnie kwitnących roślin tej królewskiej flory, zbite w jedną masę kwiecistą, zlewają się w grę kolorów tak świetną i stanowią do całości krajobrazu ramy tak czarujące, że nie dziwię się najentuzyastyczniejszym opisom „rajskiej wyspy“, tej „łzy perlistej na rzęsie Hindostanu“, jak ją w dawnych czasach podróżnicy w uniesieniu przezwali.

(*C. d. n.*)

Instynkt i inteligencya u zwierząt.

Instynktem nazywamy wrodzone zwierzętom popędy do wykonywania pewnych czynności, służących do zachowania lub ochrony pojedyńczych osobników lub całego gatunku. Popędy te zwierzęta odziedziczają po przodkach i kierują się niemi jakby mechanicznie, bez udziału pamięci i rozwagi; doświadczenie może wpływać tylko na dokładniejsze lub łatwiejsze wykonywanie czynności instynktowych, nie zmieniając istoty rzeczy. Widzimy np., że zwierzęta młode, jak tylko nadejdzie odpowiednia pora, bez żadnej nauki i przykładu, umieją załatwiać funkcye płciowe; młode samice, przed pierwszym porodem, wynajdują lub przygotowują odpowiednie miejsce i w czasie porodu same sobie doskonale radzą; zaledwie urodzone, małe zwierzątka, odszukują pierś matki i umieją ssać; wszystko to odbywa się na mocy wrodzonego instynktu. Tenże sam instynkt kieruje małpami przy wyborze na pokarm tylko nieszkodliwych dla zdrowia owoców i jagód, uczy zająca kluczyć i zrzucać przed zapadnięciem na spoczynek, a psy gończe gonić po tropie, zniewala ptaki do budowania gniazd i wysiadywania jajek, a pszczoły do zbierania zapasu miodu na zimę. Możnaby przytoczyć bardzo wiele przykładów czynności instynktowych, wybierając z pomiędzy tysięcy, ale to jest zbyteczne. Wogóle za czynności wywoływane popędami instynktu uważać należy te, które wszystkie zwierzęta jednego gatunku muszą wykonywać jednakowo przy jednakowych warunkach.

Powstawanie popędów instynktowych daje się bardzo łatwo objaśnić walką o byt i prawem dziedziczności. Wiadomo, że osobniki, należące do jednego gatunku, oprócz ogólnych cech, wspólnych całemu gatunkowi, posiadają jeszcze pewne właściwości indywidualne. Otóż przypuśćmy, że w czasie kiedy małpy nie umiały jeszcze odróżniać owoców i jagód szkodliwych od nieszkodliwych, niektórym małpom szkodliwe owoce nie podobały się dla jakiejkolwiek przyczyny, np. smak lub zapach tych owoców był dla nich nieprzyjemny. Podczas gdy inne często zatruwały się i ginęły, małpy czujące odrazę do szkodliwych owoców, mogły żyć długo, rozmnażać się i przekazywać swoją odrazę następnym pokoleniom. Właściwość ta, jako korzystna dla posiadających ją osobników, utrwalała się coraz silniej, liczba małp tej kategoryi wzrastała, gdy przeciwnej stopniowo zmniejszała się i w końcu pozostały tylko małpy niejedzące szkodliwych owoców. Obecnie więc żyjące małpy nie dlatego unikają pewnych owoców, żeby rozumiały ich szkodliwość, ale poprostu dlatego, że odziedziczyły wstręt do ich zapachu lub smaku.

Weźmy teraz drugi przykład. Zając, jako zwierzę zupełnie bezbronne, może uniknąć zagłady tylko dzięki szybkości biegu i odpowiedniemu ukryciu się na czas spoczynku. W czasach kiedy zające nie umiały jeszcze kluczyć i zrzucać, daleko łatwiej było drapieżnym zwierzętom wyszukiwać je po tropie i chwytać. Między zającami jednak mogły zdarzać się osobniki, które przed zalegnięciem w kotlinie czuły tyle zapasu energii i dobrego humoru, że na zakończenie nocnej wycieczki, wyprawiały sobie jeszcze mały harc na ograniczonej przestrzeni, a potem jednym susem dostawały się do miejsca upatrzonego na spoczynek. Przez takie poplątanie tropów, zające te utrudniały nieprzyjaciołom odnalezienie swego legowiska i tym sposobem łatwiej unikały zagłady. W następnych pokoleniach, odziedziczony popęd do wyprawiania harców przed zalegnięciem na spoczynek, mógł ulegać modyfikacyom, służącym do coraz dokładniejszego mylenia tropów, choć dokonywanym bez świadomości. W końcu, zające nieumiejące kluczyć i zrzucać, stopniowo wyginęły, a żyjące obecnie, na mocy odziedzicznego popędu, muszą robić ten manewr, choć nie zdają sobie sprawy, że to jest dla nich środkiem ochronnym. Że zające kluczą bez świadomości celu, a tylko na mocy odziedziczonego instynktu, łatwo się przekonać, obserwując maleńkiego, trzymanego w niewoli, zajączka. Taki malec, choć zupełnie oswojony z ludźmi i choć żaden pościg grozić mu nie może, nabiegawszy się czy to w zagrodzonem miejscu, czy w pokojach, zawsze kluczy i zrzuca do upatrzonego miejsca spoczynku, wykonywując cały manewr z wszelką dokładnością.

W podobny sposób można objaśnić i wszystkie czynności instynktowe u zwierząt.

Oprócz instynktu, zwierzętami kieruje jeszcze pamięć, doświadczenie i rozmysł, a czynności, wykonywane pod ich wpływem, łatwo jest odróżnić od instynktowych. Postaram się objaśnić tę różnicę na kilku przykładach.

Wiadomo wszystkim myśliwym, polującym na sarny z obławą, że w miejscowościach, gdzie takie polowania odbywają się corocznie, a szczególniej w zamkniętych zwierzyńcach, sarny zamiast uciekać przed ruszającą obławą w kierunku linii strzelców, najczęściej, po pierwszym okrzyku naganiaczy, rzucają się właśnie w stronę obławy i starają się przerwać przez nią. W podobnych razach nie ulegają one popędowi instynktowemu, gdyż w miejscowościach, w których polowanie z naganką rzadko lub nigdy nie było praktykowane, sarny zawsze uciekać będą przed nieznanym im hałasem, rozumie się, o ile wiatr nie zdradzi przed niemi linii strzelców i o ile miot jest wzięty prawidłowo. Widocznie więc w pierwszym wypadku, sarny kierują się własnem doświadczeniem, które ich uczy, że niebezpieczeństwo grozi im właśnie z tej strony, w której panuje cisza, ludzi zaś hałasujących nie mają potrzeby obawiać się.

Drugi przykład przytoczę z życia ptaków. Mieszkając przez jedno lato w małej wiosce nad rzeczką Ługań, w ekatierynosławskiej gubernii, zauważyłem, że szpaki, które nocowały w nadbrzeżnych trzcinach, co rano leciały na żer w step, do miejsca, w którem pasły się tabuny koni, wracały zaś dopiero o zachodzie słońca. Wieczorny przelot odbywały zawsze około zachodu słońca, stadkami po kilkadziesiąt do paruset sztuk, lecącemi blizko jedno za drugiem, tak, że cały przelot wielu tysięcy sztuk trwał około kwadransa. Stadka trzymały się przytem zawsze jednej drogi nad doliną rzeczki, jak gdyby miały ją wytkniętą w powietrzu. Postanowiłem skorzystać z tego przelotu dla dostarczenia przyjemności dzieciarni wiejskiej i pewnego wieczoru, w asystencyi kilkunastu chłopaków, stanąłem z dubeltówką na przelocie. Stadka leciały tak prędko jedne za drugiemi, że nie do wszystkich zdążyłem strzelać; rezultat jednak był dobry; po każdym strzale spadało po parę lub kilka szpaków, które chłopaki zbierali, żeby z nich urządzić sobie świetną ucztę. Następnego wieczoru plon był daleko mniej obfity; większa część stadek ominęła mnie

po za odległością strzału, a tylko niektóre, widocznie te, do których poprzedniego dnia nie strzelałem, leciały zwykłą drogą. Trzeciego zaś dnia nie mogłem dać ani jednego strzału; wszystkie stadka omijały mnie o paręset kroków. W tym wypadku widocznem jest, jak prędko szpaki nauczyły się poznawać grożące im niebezpieczeństwo i unikać go; nie czyniły zaś tego z popędu instynktowego, gdyż przedemną nikt pewno w tej okolicy nie strzelał do szpaków na przelocie, a powtóre, instynkt byłby je ostrzegł tak dobrze pierwszego wieczora, jak i trzeciego.

A. Sztolcman.

(C. d. n.).

UBYWANIE ZWIERZYNY W ROSYI.

(Ciąg dalszy).

Fakt, że władza policyjna w guberniach rosyjskich bardzo niedbale rozciąga nadzór nad prawidłowem wykonywaniem przepisów myśliwskich, pochodzi częściowo stąd, iż jest ona obarczona nadmiarem innych czynności, a wreszcie same obwody terenu myśliwskiego są za duże.

Istnieją okręgi policyjne, obejmujące *sześćdziesiąt do ośmdziesieciu* mil kwadratowych, i to niekoniecznie w stronie północnej Rosyi, lecz także w południowo-zachodniej i północno-zachodniej części państwa. Pozatem jednak brak jeszcze dobrej woli u wykonawców nadzoru. Niekiedy znowu bywa przerażająca nieznajomość prawa obowiązującego, oraz spora doza niedbalstwa.

Niedawno pewien zwierzchnik okręgu usprawiedliwiał właśnie swą nieznajomość stanu rzeczy, słowami: „Mój obwód jest tak duży, że czasu mi nie starczy na wyłowienie kłusowników i aresztowanie koniokradów“!

W okręgu Nowogorod-Sewerskim w gub. czernihowskiej, w początkach czerwca roku 1904 dozorca okręgowy spotkał myśliwego - włościanina, który niósł dwie zastrzelone kaczki stare; dozorca zaproponował chłopu, żeby mu je oddał za pięćdziesiąt kopiejek. Chłop jednak nie zgodził się na tę propozycyę, ponieważ sędzia okręgowy polecił mu dostarczyć zwierzynę na dzień swoich imienin, a chłop zaledwie zdołał upolować te dwie kaczki. Dozorca miał jakiś interes do załatwienia w pobliskiej gminie, dokąd się też udał. Gdy tam rozprawiał ze starszyzną gminną, przechodził znowu tamtędy ów chłopek z ubitemi kaczkami.

— Wyobraźcie też sobie — odezwał się do nich — chciałem dać temu osłowi za dwie kaczki pół rubla, a ten nie zgodził się na moją propozycyę.

Starszy gminny kazał do siebie przywołać myśliwego i przyjął go słowami:

— Gdzie jest twoje świadectwo myśliwskie, twoje pozwolenie na polowanie? Czy nie wiesz, że do dnia św. Piotra i Pawła (29 czerwca st. st.) nie wolno polować na kaczki?

Chłop oczywiście nie miał świadectwa, ale miał za to przekonanie niezłomne, że nie zrobił nic złego, dotychczas bowiem nikt mu nie zabraniał nigdy polować, a nawet sam sędzia okręgowy ciągle go wyprawiał na polowanie w czasie ochronnym, pragnąc mieć różną zwierzynę.

Zatem, ani policyjny dozorca okręgu, ani skończony prawnik w osobie sędzi okręgowego, nie wiedzieli o tem, czy też ignorowali to, że istnieją świadectwa myśliwskie i że zwierzyna ma także czas ochronny! Jedynie starszyna chłopski, którego właściwie nie obchodzą wcale prawa myśliwskie, wiedział o tem, i przypadek tylko zrządził, że się skończyło na spisaniu protokołu, wręczonego następnie temu właśnie sędziemu okręgowemu, który zachęcił chłopa do strzelania kaczek. Skutek był taki, że nie wymierzono bynajmniej ostrej kary chłopkowi, a przytem sędzia tak długo przewlekał sprawę, iż w końcu zjawił się manifest Cesarski, który darował winę podsądnemu. Broń jednak zabrano urzędownie kłusownikowi i nie zwrócono już jej więcej prawnemu posiadaczowi. O to postarał się już dozorca policyjny okręgu, pragnąc ją posiąść, a nie zadawalając się samą pieczenią z kaczek, które również wziął w posiadanie bezpłatnie, dzięki niespodziewanemu odkryciu starszyzny gminnej.

Jeszcze piękniejszą historyę z działalności policyi na punkcie myślistwa, opowiada redaktor pisma „Jagd“:

W okręgu Koselska, gub. kaluzkiej, dozorca okręgowy Simin urządził dnia 27 stycznia roku zeszłego w obrębie gminy włościańskiej Weiny, polowanie z naganką, na którem ubito łosia-byka. Ponieważ czas ochronny łosi zaczyna się z dniem 1 stycznia st. st., popełniono zatem przestępstwo, wzbronione kodeksem. „Któż więc spisał protokół o tym występku myśliwskim, jeżeli wszyscy urzędnicy policyjni tego okręgu byli czynni na polowaniu“ jako strzelcy lub naganiacze? — zapytuje redaktor.

Zupełnie podobna historya zaszła przed dwoma laty w rewirach myśliwskich, dzierżawionych przez pana Kobeca w powiecie radomyskim, guberni kijowskiej, gdzie szef okręgu policyjnego, Iwankow, urządzał polowania z naganką, nie zwracając uwagi na protesty dozorców myśliwskich; oprócz zajęcy, ubił także sarnę kozę, a policyantom wiejskim swego okręgu „rozkazał“ pełnić obowiązki strzelców i naganiaczy.

Ta przyjemność jednak kosztowała pana komisarza za drogo, gdyż gubernator przeniósł go do innego okręgu, skazując przytem na zapłacenie 25 rb. kary za samowolne polowanie, skarga zaś cywilna miała ten skutek, że musiał zapłacić dodatkowo odszkodowanie za ubite zające i sarnę 5+7=12 rb.

(C. d. n.).

O CIECZCE LISA.

Podług starej opowieści myśliwskiej, cieczka lisa rozpoczyna się w dniu Trzech Króli. Nie należy jednak sądzić, że to akuratnie tego dnia lisy przystępują do parzenia się. Jest to, w każdym razie, pora budzenia się instynktu miłosnego u tej zwierzyny, zależna także od stanu pogody, gdyż w niektórych krajach Europy są już teraz przebłyski zbliżającej się wiosny, która u nas, co prawda, zaznacza się jedynie przybywaniem światła dziennego. To też rzec można, że o tej porze zaczyna się cieczka i ciągnie się do połowy lutego.

Grzanie się liszek trwa wprawdzie tylko około trzech tygodni, ponieważ jednak nie wszystkie liszki jednocześnie grzać się zaczynają, bo starsze wcześniej, a młodsze później, przeto cieczka wogóle przeciąga się do jakich sześciu tygodni, aż do ukończenia grzania się wszystkich liszek. Samiec nie ma określonego czasu budzenia się w nim instynktu płciowego, jak to bywa u innej zwierzyny, lecz na wzór psów, gotów jest do aktu każdej chwili, gdy tylko zwietrzy grzejącą się liszkę.

Dziesiątego lub jedenastego dnia, po rozpoczęciu cieczki, u liszki nabrzmiewa t. zw. „sprzączka“, która, jak u suki, zaczyna „farbować“, czyli wypuszcza śluz lepki, szlamisty, a wtedy doszła do najwyższego punktu grzania i zaczyna się cieczka właściwa.

Ślady jej ukazują się myśliwemu wyraźnie na każdej ponowie lub wogóle na czystym jeszcze śnie-

gu. Prześladowana przez samca, liszka biega naprzód, potem cofa się po tej samej stronie, przyczem znać niekiedy ślady chodu, jakby gęsiego; ilość ich zależy od liczby samców w rewirze, z których zwykle najsilniejszy odpędza liszkę w ustronne miejsce.

Ożywiona gonitwa trwa tak często noc całą, dopóki nad ranem zgrzana liszka nie wraca do nory. Liszka wygląda wtedy tak okropnie, jest tak rozczochrana i pomiętoszona, że na pierwszy rzut oka poznaje się, jak noc przepędziła.

Zawodowy łowiec usiluje schwycić taką liszkę, ponieważ uryna, znajdująca się w jej pęcherzu, zlana do hermetycznie zamkniętej flaszki, po skropieniu tym moczem miejsca łowienia, służy za wyborny witerunek dla lisów-samców przez rok cały. Żelaza, skropione tą uryną, przywabiają zawsze lisy, choćby się już raz odbiły od żelaz. Najodpowiedniejsze do tego są żelaza talerzowe, które ustawia się najlepiej obok jakiegoś przedmiotu wyższego, krzaku, drzewka, lub sztucznie urządzonego podwyższenia, które pokrapia się taką uryną. Samiec wietrzy ją z wielkiej odległości. Trzeba jednak mieć koniecznie mocz grzejącej się liszki.

Zdarza się nawet dosyć często, że i suki idą na lep tego witerunku i wpadają w żelaza, lecz nie tak łatwo, jak samce. Liszka bowiem ma zwyczaj, jak suka, puszczać urynę najchętniej tam, gdzie czuje zapach po swej koleżance, samca zaś ciągnie zawsze w tę stronę także instynkt płciowy, ustawicznie u niego ożywiony, zwłaszcza, gdy go podnieca witerunek odpowiedni.

J.

Kaliber gilz do nabojów śrótowych.

Znawca broni myśliwskiej, Konrad Eilers, pisze w jednej z myśliwskich gazet zagranicznych, co następuje:

Zbyt liczna różnorodność kalibrów panuje, niestety, w dziedzinie broni myśliwskiej. Żaden rzeczoznawca nie zechce twierdzić, że ta różnorodność jest potrzebna, lecz każdy wie, iż to przedstawia, owszem, nieskończenie wiele niedogodności. Pomijamy teraz zupełnie strzelby kulowe i zwracamy się wyłącznie do fuzyj śrótowych. Tutaj dzieje się już trochę lepiej. Obok kal. 12 i 16, nie spotyka się na szczęście, innych kalibrów, które znacznie ustępują tamtym, a jak to już raz wykazałem gdzieindziej za pomocą odpowiedniej statystyki, kal. 12 coraz bardziej zwycięzko idzie naprzód.

Uważam to za rzecz wielce pożądaną, a lubo wiem, że można się zadowolić także kal. 16 do wszelkich celów myśliwskich, w interesie jednak sprawności strzeleckiej i pożądanego ujednostajnienia, przemawiam zawsze za kal. 12. Lecz, niestety, i to nie wystarcza, że kal. 12 coraz bardziej staje się kalibrem normalnym. Kal. 12 i kal 12 to na nieszczęście, zupełnie odmienne rzeczy, zarówno w strzelbach, jak i w nabojach. Przed pewnym czasem usiłowano wprowadzić jednostajne łożyska nabojów w strzelbach myśliwskich, podług wzoru angielskiego. Usiłowania te jednak spełzły na niczem, jak to było do przewidzenia z góry. Aczkolwiek dużo broni przeszło przez moje ręce, dotąd jednak nie widziałem żadnej strzelby, któraby odpowiadała w zupełności kalibrowi normalnemu.

Naprzykład, znane fuzye Browninga, które są przecież produktem współczesnym i pozatem w pewnej mierze międzynarodowym, nie uwzględniają wcale zasady stosowania jednostajnego kalibru normalnego. Lecz gdyby nawet były strzelby, odpowiadające takiemu kalibrowi normalnemu, toby się na tem tymczasowo nic nie zyskało. Albowiem niezbędnym warunkiem byłoby, żeby i gilzy nabojowe odpowiadały dokładnie kalibrowi normalnemu, co dotychczas wcale nie dzieje się w praktyce.

Wykażę to na przykładzie najbardziej znanych gatunków nabojów, podając dokładne ich wymiary. Weźmy najprzód niektóre naboje niemieckie; wymiary przedstawiają się tutaj, jak następuje:

„Rottweiler“	22,14 mm.,	20, 6 mm.,	20,15 mm.,	20 mm.
„Walsroder“	22,11 „	20,48 „	20,15 „	20,13 „
„Hasloher	22,15 „	20,48 „	20,15 „	20,13 „
„Saxonia“	22, 3 „	20,35 „	19,95 „	20 „
„Bischweiler Diana“ (brunatny)	22 „	20,46 „	20, 1 „	20 „
„Bischweiler Diana“ (zielony)	22,14 „	20, 4 „	20, 1 „	20, 1 „
„Utendorfer“	21, 8 „	20,55 „	19,95 „	19,95 „
„System Eilers“	22 „	20, 5 „	20, 2 „	20,15 „

Bierzemy następnie niektóre marki angielskie, belgijskie i t. d.

„Eley Brothers“	22,31 mm.,	20, 5 mm.,	20, 3 mm.,	20,15 mm.
„Cooppal“	22,27 „	20,44 „	20, 3 „	20, „
„Kynoch Normal“ . . .	22,22 „	20, 5 „	20,32 „	20. „
„Mullerite“	22, 2 „	20, 6 „	19,98 „	20, 6 „
„Union mettalic cartridge“	22,27 „	20,42 „	20, 3 „	20, 2 „

Przegląd powyższy, który bynajmniej nie jest jeszcze wyczerpujący, może wystarczyć, żeby przekonać dowodnie, jak wiele zostawia do życzenia ujednostajnienie kalibru. Nic dziw zatem, że w jednej strzelbie nabój nie chce wejść w łożysko, w drugiej gilza pęka po wystrzale! Nic dziw, że naboje, zwłaszcza w strzelbach eżektorowych i fuzyach automatycznych rozrywają w środku, a kociołek mosiężny wychodzi na wierzch, tektura zaś zostaje utkwiona w łożysku!

Bywa także z tego powodu tak, że broni po wystrzale nagle nie można już otwierać, ani „dobrocią“ ani siłą, albo też broń kopie przy strzelaniu często nie do zniesienia, aczkolwiek ciśnienie gazów używanego naboju jest samo przez się może umiarkowane. Skutkiem tego są siniaki na ramieniu i palce poranione. Kto dużo strzela i chętnie nabywa różne gatunki broni i nabojów, doświadczał tego i temu podobnych wypadków chyba niejednokrotnie. A o ile to wszystko jeszcze nie jest najgorsze w porównaniu z tem, co zajść może przy strzelaniu, to mogę jednak twierdzić z doświadczenia, że takie przeszkody bardzo są nieprzyjemne podczas polowania, albo też w strzelnicy sportowej.

W każdym razie jasną jest rzeczą, że nader pożądanem byłoby ujednostajnienie, o ile to tylko możliwe, kalibru gilz nabojowych. Wtedy fabryki broni będą musiały także wykonywać jednostajne kalibry łożyska nabojów. Można mieć nadzieję, że przy dobrej woli i współdziałaniu kół miarodajnych, cel ten osiągnie się w czasie niezbyt dalekim. Wówczas znikną różne przeszkody, które obecnie błędnie przypisuje się strzelbie, systemowi lub puszkarzowi. Również potem okaże się, że różne gatunki nabojów są bardzo dobre, mimo, że obecnie je się potępia. Wina niektórych przeszkód leży bowiem nie w strzelbie, ani w nabojach, lecz wyłącznie w okoliczności, że one wzajem do siebie nie są dopasowane“.

O.

Dzikie byki.

Oprócz gatunków, które już wyginęły, istnieją jeszcze, nie w Europie wprawdzie, lecz w innych częściach świata, gatunki zupełnie dzikich byków. Do takich należą *gajol* i *gaur*, żyjące w Indyach azyatyckich.

Gajol przebywa w miejscowościach górzystych, na wschód od rzeki Bramaputry, w lasach jedynie, gdzie z niesłychaną zręcznością wspina się na skały i wyniosłości górskie. Za dnia śpi w gąszczach leśnych, a rano lub wieczorem, w jasne, pogodne noce, wychodzi na żer. Lubi wodę, ale błota i trzęsawisk unika. Zwierzę to odznacza się pięknością swych kształtów i siłą, posiada nadzwyczaj szerokie czoło, uzbrojone we dwa grube, niezbyt długie, wygięte ku tyłowi rogi. Woli zwieszającego się pod szyją, nie posiada, lub wyjątkowo bardzo małe. Sierć ma gładką, lśniącą, zupełnie czarnej maści, jaśniejszej tylko na nogach, poczynając od kolan.

Gajol odznacza się spokojem i dobrodusznem usposobieniem, na człowieka nie rzuca się nigdy. Mieszkańcy tamtejsi od niepamiętnych czasów utrzymują te zwierzęta w niewoli i oswajają, krzyżując z innemi gatunkami, ponieważ ich mięso i mleko wysoko cenią. Wszelkie jednak usiłowania, aby zwierzęta te rozpowszechnić w kierunku zachodnim od ich ojczyzny, na nic się nie przydają, ponieważ gajol śród równin żyć nie może.

Zupełnie podobnem usposobieniem odznacza się i drugi mieszkaniec górzystych Indyj, *gaur*. Od gajola odróżnia się on maścią żółtawo-rudą i budową korpusu, która więcej przypomina żubra lub bizona. Zwierzęta te również łatwo dają się oswoić, szczególnie krowy, które od byków różnią się jeszcze drobniejszą budową i mniejszemi rogami.

Gaury trzymają się w stadach po 10—12 sztuk, przebywając w głębokich wąwozach i lesistych dolinach gór. Mieszkańcy tamtejsi łowią je przy pomocy oswojonego już, domowego bydła. Wypuszczają to ostatnie na pastwisko gdzieś pod lasem, wiedząc z góry, że stado dzikie zwykle się do domowych przyłącza. Na drodze, wiodącej ku zagrodzie domowej, rozsypują kule, wielkości główki kapusty, z pewnego rodzaju gliny, zmieszanej z solą, którą dzikie bydło z chciwością liże. Tym sposobem niepostrzeżenie, racząc się ulubionym przysmakiem, zwierzęta posuwają się razem z domowemi coraz dalej, aż nakoniec znajdą się w miejscu ogrodzonem, gdzie zostają zamknięte. Wkrótce jednak przywykają do człowieka i oswajają się zupełnie. Zwierzęta te jednak często w wielkiej liczbie padają ofiarą dżumy, która tam panuje od czasu do czasu śród bydła domowego, zarażają się bowiem, wychodząc na te same pastwiska, po których chodzi bydło, dotknięte zarazą.

Bywa też hodowanym oddawna w południowej Azyi i wschodniej Afryce gatunek, zwany powszechnie zebu. Zwierzę to odznacza się szczególnie tłuszczową naroślą w kształcie garbu na wierzchu kłęba. *Zebu*, hodowany w Indyach i w Turkiestanie, ma nieduże rogi, sierć jasno-burą lub zupełnie białą i łaciastą. Od innych gatunków, zebu różni się tem jeszcze, że nie szuka cienia i nie lubi wchodzić w wodę do kolan; biegnie truchtem i galopem, jak koń, używają ich też do przewożenia ciężarów, pod wierzch i do zaprzęgu.

Zebu łatwo krzyżuje się z innemi gatunkami, wydając również plodne potomstwo. Tym sposobem powytwarzały się różne odmiany tych zwierząt; dość powiedzieć, że między innemi, istnieją zebu karłowate tak małego wzrostu, jak małe osiołki, lub duże świnie. W niektórych miejscowościach Indyj zebu żyją po lasach, w stanie zdziczałym.

Afrykański zebu, który dla wielu tamtejszych narodów, ze względu na swoją użyteczność, stanowi prawdziwe bogactwo, odznacza się długością rogów, które mierzą około łokcia.

Z Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa.

Posiedzenie Rady, 10 stycznia. Ponieważ czasowy generał-gubernator siedlecki, gen. Sykałow, zawiadomił, że nie zgadza się na polowanie w obrębie dóbr Osieckich, jak i wogóle w gub. siedleckiej, przeto polowania Członków na terenach Osieckich zostały wstrzymane.

Wynik konkursów strzeleckich.

Wydział Ochrony i polowań Warsz. Tow. praw. myśl. na posiedzeniu w d. 29 grudnia r. z. rozstrzygnął ostatecznie konkursy strzeleckie, jakie się odbywały w Strzelnicy Warszawskiej pomiędzy 24 września a 29 października r. z. Przyznano następujące nagrody:

Konkurs I. (*Zwolenników strzelania z pistoletu*). Z pistoletu na 16 metrów, 25 strzałów, każdy do osobnej tarczy. Nagroda I (przedmiot wartościowy) — p. Stefan Kretkowski za sumę 131 punktów. Nagroda II (przedmiot wartościowy) — p. Aleksander Nelken [1]) — za sumę 96 punktów.

Konkurs II. Z pistoletu do manekina na komendę. 7 strzałów na 25 metrów. Nagroda I (żeton złoty) — p. Aleksander Nelken. Nagroda II (żeton srebrny) — p. Stefan Kretkowski.

Konkurs III. Z broni śrótowej do ruchomego zająca na 40 metrów. Wobec przewrócenia maximum zajęcy, t. j. 20-tu, przez trzech uczestników, a mianowicie pp. Feliksa Różyńskiego, Stanisława de Rosenwertha i Stanisława Freytaga, zdecydowano rozstrzeliwanie między wspomnianymi uczestnikami. Termin zostanie oznaczony.

Konkurs IV. Ze sztucera do znikającego rogacza na 40 metrów. Nagroda I (przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy) — p. Aleksander Morozow za sumę kwadratów 481. Nagroda II (przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy)—p. Feliks Różyński za sumę kwadratów 462. Nagroda III (żeton srebrny)—p. Stefan Kretkowski za sumę kwadratów 443.

Konkurs V. Ze sztucera do ruchomego dzika na 80 metrów. Nagroda I (przedmiot wartościowy z napisem na srebrnej tarczy) — p. Aleksander Morozow za sumę kwadratów 481. O nagrodę II i III rozstrzeliwać się będą pp. Stefan Kretkowski i Feliks Różyński, którzy osiągnęli jednakową liczbę kwadratów (282).

Konkurs VI. Ze sztucera do tarczy stałej, średnicy 70 ctm. na 100 metrów. Nagroda I (żeton złoty) — p. Aleksander Morozow za średnią kwadratów 23. Nagroda druga (żeton srebrny) — p. Stefan Kretkowski za średnią kwadratów 25. Nagroda III (żeton bronzowy) p. Czesław Lisowski za średnią kwadratów 29.

Konkursy pocieszenia.

Konkurs VII. Z broni śrótowej do zająca (ruchomego) na 40 metrów. Serya z 15 zajęcy. Nagroda I

[1]) Jak wiadomo, ś. p. Aleksander Nelken zakończył żywot przed kilku tygodniami wskutek tragicznego zbiegu wypadków.

(żeton srebrny)—p. Jan Strcker (15 wywróconych zajęcy). O nagrodę II (żeton bronzowy) rozstrzeliwać się będą pp. Jerzy Komorowski i Stefan Jaeger.

Konkurs VIII. Ze sztucera do ruchomego dzika na 80 metrów. Nagroda I (żeton srebrny)— p. Jan Strcker za sumę kwadratów 443. Nagrody II nie przyznano.

Konkurs IX. Ze sztucerów do tarczy stałej średnicy 70 ctm. na 100 metrów. Nagroda I (żeton srebrny)—p. Jan Strcker za średnią kw. 23. Nagroda II (żeton bronzowy) — p. Feliks Różyński za średnią kw. 104.

O wyniku rozstrzeliwania w konkursach III, V i VII nie omieszkamy donieść we właściwym czasie.

Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czyt. naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

W ubiegłym miesiącu odbyło się przez 8 dni w Chorwacyi polowanie, w którem uczestniczyli: konsul Schüller, hr. Auersperg, hr. Bombelles (amfitryon), hr. Erdody, książę Solms, baron Haas, bar. Pfaffenhofen, bar. Sartorio, hr. Wurmbrand, 3 bracia Pongratz i Anglik Lipitt. Polowano wyłącznie w lasach, 1 dnia z udziałem 3 strzelców, 4 dni—sześciu, 1—siedmiu i dwa—8. Ubito zaś razem 15 saren, 1,382 zajęcy, 97 królików, 4,508 bażantów, 246 kuropatw, 12 bekasów i 19 różnych, czyli razem 6,279 sztuk.

W d. 5 stycznia odbyło się polowanie kółka Bogumiłowskiego na gruntach dworskich, majątku Bogumiłów, w pow. sieradzkim. W 14 strzelb zabito 106 zajęcy, królika i 7 kuropatw. Królem łowów był p. inżenier Kistelski z Pabianic, mając na rozkładzie 17 sztuk.

Pomimo sprzyjającej pogody (chociaż o czarnej stopie) rezultat osiągnięto gorszy, aniżeli był spodziewany, gdyż naganka bardzo jeszcze niewprawna w prowadzeniu miotów, większą część zwierzyny przepuszczała za siebie, jedynie też dzięki energicznemu prowadzeniu gospodarza łowów, p. Władysława Makarczyka, jak również znanym sportsmenom. jak p. E. Kremky, L. Meylert, F. Kobierzycki, dr. Skibiński i reszcie myśliwych, którzy wytrwale walczyli o królestwo, rezultat powyższy przypisać należy.

Wykazy Myśliwskie.

W wydanym niedawno zeszycie „Miesięcznika statystycznego" znajduje się spis zwierzyny ubitej i wytępionej w r. 1903 w Austryi. Zawiera on: 34,366 jeleni, 2,743 danieli, 117,830 sarn, 104,884 gemz, 3,963 dzików, 1,656,811 zajęcy, 143,394 królików, 993 świstaków, 6,671 głuszców, 11,810 cietrzewi, 12,008 jarząbków, 1,835 pardw, 3,247 drozdów, 218,696 bażantów, 1,480,660 kuropatw, 51,863 przepiórek, 33,014 słonek, 12,515 bekasów, 1,632 dzikich gęsi, 60,248 dzikich kaczek, 28 niedźwiedzi, 82 wilków, 36 rysiów, 40,125 lisów, 18,376 kun, 64,225 łasic, 32,667 tchórzy, 1,135 wyder, 115 żbików, 5,708 borsuków, 229,212 wiewiórek, 761 orłów, 938 puhaczy, 11,113 jastrzębi, krogulców i sokołów, oraz 481,514 wron i srok. Obliczając całą tę zwierzynę użyteczną podług cen minimalnych, otrzymamy sumę 2½ do 3 milionów guldenów za dziczyznę, zaś drapieżników wartość skór i ciał około ¼ miliona.

Drobiazgi myśliwskie.

Z ubiegłych dni. Polowania, zaniedbane nieco ostatniemi czasy, skutkiem wypadków ogólno społecznej natury, przez jakiś czas znów zajęły myśliwych, z chwilą, gdy ponowa i mróz nadały specyalny powab temu sportowi. Polowano na śniegu w ciągu ubiegłych tygodni w wielu miejscowościach Królestwa, bądź w lesie z naganką, bądź na polach w kotłach. Zwierzostan w powiatach: miechowskim, olkuskim, kieleckim, włoszczowskim, płockim, ciechanowskim i rypińskim, gdzie odbyły się polowania, okazał się dobry. Zające dobrze przetrzymują zimę i stan ich jest zadawalający. Kuropatw również spotykano dużo i dobrze dotąd przezimowane stada.

Podczas stanu wojennego. Podczas rewizyj, dokonanych ostatniemi czasy w mieszkaniach prywatnych, uległa konfiskacie i broń, posiadająca wyłącznie wartość archeologiczną. Urzędnicy, dokonywujący rewizyi, z góry zastrzegali się, iż nie są obowiązani do odróżniania broni palnej muzealnej od zwykłej. Obecnie właściciele skonfiskowanych zabytków wystąpili do władzy z prośbą o zwrot broni skałkowej, janczarek, gardłaczów i innej, do użytku niezdatnej. Przyobiecano im, iż po ukończeniu przeglądu spraw, broń uznana za „archeologiczną", będzie zwróconą do zbiorów.

W d. 6 b. m. w powiecie garwolińskim, gub. siedleckiej, odbyły się liczne aresztowania obywateli ziemskich okolicznych. Po otoczeniu wojskiem dworów w Zadybiu, Jagodnem i Woli Zadybskiej, odbyły się rewizye, których rezultatem było odebranie broni myśliwskiej, nawet tej, na którą było wydane pozwolenie władz odnośnych. Do handlów zmniejszył się znacznie dowóz zwierzyny z lasów, położonych w Królestwie Polskiem. Jest to proste następstwo stanu wojennego i wynikłe zeń obostrzenie co do łowów. Jednocześnie ustały pokątne dostawy zwierzyny przez kłusowników.

Nowe Towarzystwo myśliwskie. Założono w Łodzi Towarzystwo racyonalnego myślistwa, do którego wybrano zarząd, składający się z 12-tu osób. Składka roczna wynosić będzie 20 rb., wpisowe 10 rb., dla zamiejscowych składka wynosi 12 rb. Osoby, które jednorazowo złożą 500 rb., mianowane będą członkami honorowymi.

Wilki Donoszono już dawniej, ze w okolicach Słupca zagnieździły się wilki, które robią duże szkody i rzucają postrach na ludzi. Obecnie potwierdza się ta wiadomość. Są dwa gniazda wilków: jedno znajduje się w lesie słupieńskim, łączącym się z lasami niesłuchowskiemi i nieszawskiemi, drugie w lasku, należącym do gospodarzy Cekanowa. Wilki robią szkody. Niedawno uniosły dwie świnie i jedną owcę, zastępują także drogę ludziom, idącym z Wykowa do Miszewa Murowanego. Miała się podobno odbyć obława na wilki, ale jakoś do skutku nie doszła.

Kłusownictwo w Poznańskiem rozwija się niepomiernie. Gazety niemieckie bardzo często notują wypadki przyłapania kłusowników, przyczem dodają złośliwie, że to są „przeważnie polskiej narodowości osobniki". Piszą też o nich, że są to wogóle tchórze, ale za to bardzo przebiegli. Odbywają podróże piesze wielomilowe, raubszycując dla niepoznaki coraz w innej miejscowości i mając liczny zapas kul i śrótu. W zeszłym miesiącu schwytano kłusownika, który przez parę dni ubił sarnę, 5 kogutów-bażantów i 11 kur-bażantów; wszystko to sprzedał handlarzowi zwierzyny za 28 marek. Po odebraniu jej od handlarza, sprzedano te sztuki za 60 marek 40 fenigów. Kłusownika tego przyłapano już przed półtora rokiem i wtedy zabrano mu broń i nałożono nań karę w sumie 60 marek.

Kanibalizm lisów. Zauważono już podobno, że lisy nieraz pożerają osobniki własnego gatunku. Nie-

dawno pod Monachium lis został złowiony w żelaza niedaleko nory: na lisa tego z unieruchomioną nogą napadł drugi lis, który go udusił i pokaleczył w okropny sposób. Inny znowu myśliwy opowiada w czasopiśmie austryackiem, że niedawno ubił liszkę, którą zostawił przed norą i czekał, aż wyjdą młode, by je także ubić. Po pewnym czasie wyszło ich 7 sztuk, jedna za drugą, które najpierw dobierały się do cycków martwej matki, a potem zaczęły gryźć z niej kawały. Myśliwy wystrzelił i zabił 3 z nich. Pewien znowu leśniczy chował 2 lisy w stajni i doczekał się tego, że w nocy jeden udusił drugiego i zżarł połowę ciała.

Bażanty Rotszylda Od wielu lat, każdy woźnica omnibusu w Londynie otrzymuje od lorda Rothschilda w podarunku na Boże Narodzenie, bażanta. Dar to dość kosztowny, gdyż w stolicy Anglii woźniców takich jest kilka tysięcy. Rozdawanie bażantów odbywa się na stacyach i w magazynach omnibusowych, a woźnice przyczepiają ptaka do kozła i tak z nim przez cały dzień paradują. Dla okazania zaś wdzięczności hojnemu lordowi, wszyscy woźnice omnibusowi noszą dnia owego kokardy żółto czerwone, czyli w barwach herbu rotszyldowskiego.

Z polowań króla hiszpańskiego Alfons XIII-ty, bawiąc niedawno w Niemczech i Austryi, oddawał się także polowaniu. W parku Springe cesarza Wilhelma ubił podczas pierwszej naganki 28 dzików, a podczas drugiej 38 oraz 9 danieli. W Austryi odbyło się na cześć króla polowanie w Seelowitzu, w którem uczestniczyli także arcyksiążęta Franciszek Ferdynand, Fryderyk, Karol Stefan i Eugeniusz, oraz ks. Bourbon Parma i Emanuel Salm-Salm, arcyksiężne Izabella, Henryeta, Gabryela i inni. Urządzono dwa mioty; w pierwszym padło 2,927 sztuk, przeważnie saren, zajęcy, królików, bażantów i kuropatw; w drugim tylko 678. W obu miotach król sam ubił około 600 sztuk zwierzyny.

Ruja sarn w grudniu. Dr. Wurm, znany zoolog myśliwski, ogłosił następującą odezwę do myśliwych: Powszechnie wiadomo, że ruja sarn przypada w lipcu i sierpniu. Pozatem wiemy teraz, że nietylko u sarny, lecz także u nietoperzy, borsuków, niedźwiedzi i innych zwierząt, jajko zapłodnione leży miesiącami w macicy, jakby odpoczywając, i niezawsze płód się rozwija. Zdarzają się też wypadki bardzo spóźnionej rui, a stwierdzono, że samce o wiele dłużej mają popęd płciowy, niżli samice, tak, że w wyjątkowych razach samiec może niemal przez rok cały oddawać się rui. Zoolog przeto prosi, aby myśliwi, uganiający się po lasach, szczególnie na jesieni, ogłaszali w pismach łowieckich, zauważone, niepowszednie fakty zachowania się wszelkiej zwierzyny pod względem stosunków płciowych, gdyż podobno nawet zauważono raz wypadek rui sarn w grudniu.

Dzikiego łabędzia ubito niedawno pod Kłajpedą, który ważył 24 funty.

Niezwykła sierć. Pod Wiesbadenem ubito zająca, którego sierć była zupełnie tak czerwona, jak sierć lisa.

Ubicie niedźwiedzia. W „Deutsche Jaeger" czytamy: „Podczas polowania z naganką w dobrach Poroninie, w Galicyi, ubił p. Stanisław Kalica (?) samca niedźwiedzia, który ważył 98 kg.

Psy rasowe za darmo. „Austryacko-węgierski klub foksterierowy" ogłasza, że myśliwym zawodowym daje darmo po jednym foksterierze czystej rasy, pod warunkiem, że się zobowiążą wytresować psa do myszkowania w norach lisich i borsuczych, oraz przedstawią psa do konkursu myszkowania, który odbędzie się w Wiedniu jesienią r. 1906. Nagrody na tym konkursie wynoszą 80, 40 i 20 koron w złocie, rozdawane też będą medale. Obecnie są do oddania 4 foksteriery. Klub mieści się w Wiedniu I. Minoritenplatz 3.

Wapiti szesnastak. Książęta Jerzy i Konrad, synowie w. ks. Leopolda bawarskiego, odbyli w r. z. wyprawę myśliwską do British - Columbii, gdzie ubili oprócz powszedniej zwierzyny, 7 *Mountain-Goats* (kozy śnieżyste), *Capra montana* (*Oplocerus montanus*), oraz jednego *White-Tail Deer* (jelenia białoogoniastego — *Cervus virginianus*). W Wyomingu ubili 6 wapiti, z czego 2 czternastaki. W początkach października ks. Jerzy ubił w *Jacksons Hole*, w pobliżu *Jackson Lake* w stanie Wyoming — szesnastaka wapiti. Rogi mierzą: lewa odnoga od nasady do najwyższego końca przez krzywiznę 134, prosto 131 cm.; największa szerokość między odnogami — 108 cm. i obwód rogów ponad nasadą — 28 cm.

Czarne lisy. Pismo angielskie „Weekly Standard" donosi, że w obwodzie Bedale, w posiadłości księcia Clevelanda uległy się dwa czarne lisy. W dziele J. E. Millari'ego o angielskich zwierzętach ssących, wspomniano jedynie o dwóch wypadkach „melanizmu" u lisów, który się zdarzył w Anglii. Z drugiej jednak strony przesąd angielski: „kto upolował czarnego lisa, musi tego roku umrzeć", świadczy, że i dawniej zdarzały się w Anglii czarne lisy.

Udławienie się jelenia kartoflem. W rewirze Hermersdorf w Saksonii znaleziono silnego jelenia zdechłego, który udławił się wskutek połknięcia zbyt dużego kartofla.

Słoń — zabójca. W paryskim ogrodzie zoologicznym licznie zebrana publiczność była niedawno świadkiem tragicznego wypadku. Wielki słoń, stary samiec, który już od kilku dni zdradzał pewne rozdrażnienie, począł zachowywać się bardzo niespokojnie. Ryczące przeraźliwie, giął i łamał kratę żelaznego ogrodzenia. Publiczność przerażona rzuciła się do ucieczki. Wtedy jeden z dozorców, którego słoń najlepiej znał i lubił, wszedł do ogrodzenia, aby uspokoić rozdrażnione zwierzę. Zaledwie jednak zbliżył się do słonia, ten w mgnieniu oka porwał go trąbą, wzniósł wysoko w górę i rzucił o ziemię, wreszcie stratował nogami. Służba ogrodowa z trudnością zdołała zapędzić rozszalałe zwierzę do klatki, i wtedy dopiero podniesiono martwe ciało dozorcy, zamienione w jedną niekształtną, krwawą bryłę.

Lwica na ulicy. Panikę w menażeryi w Selly w Jorkshire wywołała lwica, która podczas przedstawienia wyrwała się z klatki. Murzyn, poskramiacz Lowtarno, miał wejść do klatki, a miss Marcella, córka właściciela menażeryi, stała tuż za nim, aby zamknąć kratę, gdy pogromca wejdzie do wnętrza. Przyczajona lwica, która już przedtem kilkakrotnie rzucała się na murzyna, skoczyła w półotwartą kratę, ukąsiła go silnie w ramię i rzuciła się na dziewczynę: całą siłą potężnej łapy uderzyła ją w ramię i niemal ponad głowami uciekającej w popłochu, publiczności, wyskoczyła na ulicę, gdzie schroniła się pod wozem cyrkowym. Około 12 ludzi z grubemi linami i sieciami obstąpiło dzikie zwierzę, ale gdy jeden z nich nieco się zbliżył, lwica rzuciła się na niego, zdarła mu całą skórę z czaszki i ukąsiła w ramię. Ostatecznie udało mu się zarzucić jej lasso na szyję i po dwudziestu minutach nawpół uduszoną, ale bezustannie ryczącą, zawlec do klatki.

Struś w roli stróża. W pewnej fermie w okolicy miasta Jacksonville, w stanie Floryda, Ameryki północnej, obowiązki stróża pełni struś, zwany Napoleonem. Jest to olbrzymi samiec, wysokości 10 stóp, ważący przeszło 10 pudów. Właściciel fermy hoduje ogromną ilość ptactwa domowego, zwłaszcza bażantów, na które wielki apetyt czują okoliczni murzyni. Dlatego właśnie gospodarz powierzył obowiązki stróża Napoleonowi. Olbrzymi ptak w dzień zły i niedostępny, w nocy staje się strasznym. Ludzi nienawidzi, nawet własnego dozorcę, który ośmiela się wchodzić do zagrody Napoleona tylko z wielkiemi widłami, aby utrzymać ptaka w przyzwoitej odległości. Rzeczywiście okazało się, że struś jest doskonałym stróżem. Pewnej nocy mieszkańców fermy zbudziły przeraźliwe wołania ludzkie i groźne krzyki strusia. Wszyscy wylegli na podwórze, przeznaczone dla drobiu, i ujrzeli widok niezwykły. Po podwórzu rzucał

się z kąta w kąt, obcy murzyn, ścigany przez Napoleona. Struś zadawał mu raz po raz straszne ciosy dziobem; nieszczęśliwy uciekał, wydając rozpaczliwe krzyki. Nareszcie murzyn wdrapał się na ogrodzenie, chcąc je przeskoczyć, lecz olbrzymi ptak silnem uderzeniem dzioba zrzucił go na ziemię, przecinając biodro aż do kości. Rzucono się na pomoc niefortunnemu złodziejowi, któremu tylko natychmiastowa pomoc lekarska ocaliła życie, tak był pokaleczony. Po tym wypadku bażanty właścicielowi przestały ginąć i murzyni nie zaglądają już do fermy.

Radyum a wścieklizna. Z Rzymu donoszą do „Dz. poznańskiego": Dr. Tizzoni z Bolonii i dr. Bongiorann z Padwy dokonali ważnych doświadczeń z leczeniem wścieklizny za pomocą radyum, jak dotychczas na psach, i to nietylko w początkach choroby, ale również kiedy zaraza już się rozwijała i kiedy zwykłe środki zaradcze nie okazują się skutecznemi.

Mody dla psów. Pani White Pearce, założycielka wielkiego pensyonatu dla psów w Londynie, które kąpie, czesze, fryzuje na polecenie bogatych właścicielek, pisze o psich modach, co następuje: „Psy, brane na spacery do parku lub na wizyty, mają nowomodne żakiety, ochraniające im piersi od zaziębienia, zwłaszcza gdy jadą ze swemi paniami w samochodach. W tym razie daje im się umyślnie dla nich wyrobione okulary, kapiszony na łby i chusteczki na kark. Kolory zastosowano są do kolorów, w jakie się panie ubierają. Niektóre mają obroże, nasadzane drogiemi kamieniami. Modne ubiorki dla psów dochodzą ceny 10 dolarów".

* * *

Pies i porada. Rzecz dzieje się na letniem mieszkaniu. Do adwokata X. przychodzi pewnego dnia sąsiad tegoż, pan Y.

— Przyszedłem do pana dobrodzieja po poradę: jeżeli cudzy pies ściągnie komuś mięso z kuchni, czy od właściciela psa można żądać wynagrodzenia za mięso?...

— Naturalnie!

— W takim razie będzie pan łaskaw zapłacić mi dwa ruble; to pański pies wczoraj ukradł mięso z mojej kuchni.

— Dobrze, panie, ale i mnie od pana dobrodzieja należy się dziesięć rubli za dzisiejszą poradę. Proszę sobie przeto potrącić dwa ruble i wypłacić mi pozostałe ośm.

* * *

„Nemrodzi". — W zeszłym miesiącu polowaliśmy z Jankiem. On nic nie zabił.

— Zapewne tobie poszczęściło się lepiej?

— O tak, ja zabiłem jego psa.

* * *

Słoniowa historya. — Czy pan słyszał o tym noworodku, co karmiony mlekiem słonia, codziennie przybierał po dwadzieścia funtów.

— Nic nie słyszałem, a cóż to był za noworodek?

— Słonia.

* * *

Na polowaniu. — Waryacie! Dlaczego nie strzeliłeś do lisa, na dziesięć kroków!

— Bo zaszedł mi z prawej strony, a ja w prawej lufie miałem śrót na ptaszki. Gdybym go miał od lewej lufy, tobym go sprzątnął.

STRZELANIE DO GOŁĘBI.

Monte-Carlo.

Sezon strzelania do gołębi rozpoczął się w połowie grudnia r. z. W d. 16 t. m. rozegrano *Nagrodę grudniową* (*Prix de Decembre*) przy współudziale kilkunastu współzawodniczących. Zdobył ją jeden z najlepszych strzelców angielskich, p. Mackintosh, który, strzelając na 30 metrów, jako handicapowany, zabił siedm gołębi z rzędu, zabierając 600 fr. nagrody.

Program strzelania zapowiada rozegranie Wielkiej Nagrody *(Grand Prix du Casino)* na 5-go lutego i dni następne. Poprzedzi go Pula Próbna (*Poule d'Essai*) 29-go stycznia, zaś Nagroda Monte Carlo (*Prix de Monte Carlo Handicap*) rozegraną zostanie w d. 9 lutego.

Pomiędzy zwycięzcami rozegranych już pul mniejszych, znajdujemy po raz pierwszy nazwisko p. Mazurina (zapewne Rosyanina), który w *Prix du Stand* podzielił się trzecią nagrodą wraz z p. Moncorgé.

Medyolan.

W dniu 28 i 29 kwietnia r. b., przy sposobności otwarcia wystawy medyolańskiej, na tamtejszej arenie odbędzie się strzelanie do gołębi, przyczem będą rozdzielone nagrody 100,000 lirów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Prenumeratorowi z Ukrainy. 1) Prace „Instytutu dla próbowania ręcznej broni palnej w Halensee", rozsyłane są Członkom Instytutu w zeszytach dwutygodniowych. Zeszytów tych w handlu niema.

2) Wszystkie prochy malodymne płatkowate znoszą mocniejsze przybicie, a nawet go potrzebują. Przybitka prochowa daje nam uszczelnienie; średnica jej jest zależną od największej średnicy lufy; (w środku) na proch zaś sam „Sokól" czy „Lisiew", kłaść należy karton dostatecznie gruby.

Wł. Sł.

Treść Nr. 2 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „**Łowca Polskiego**" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop. kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 franków.

Pojedynczy numer „ŁOWCA POLSKIEGO" 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„ŁOWCA POLSKIEGO" prenumerować można: w Kantorze Administracyi „ŁOWCA POLSKIEGO" Warecka 15, w Kancelaryi Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34, w Warszawie.

Od Redakcyi „Łowca Polskiego".

Z powodu strejku pocztowego prenumeratorzy nasi nie mogli we właściwym czasie nadesłać prenumeraty.

Uwzględniając to położenie, wysyłamy nasze pismo wszystkim naszym zeszłorocznym prenumeratorom, pomimo nie wniesienia przez nich prenumeraty.

Prosimy jednak o łaskawe a **jaknajspieszniejsze** nadesłanie przedpłaty na rok bieżący, abyśmy mogli uregulować nasz nakład.

Blankiety przekazów pocztowych rozesłaliśmy przy Nr. 1.

Redaktor i wydawca Jan Sztolcman. Druk Piotra Laskauera i Sp. Warszawa, Nowy-Świat 41.

Nr. 3. Warszawa, d. 1 Lutego 1906 r. R. VIII

Łowiec Polski

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego:" Warecka 15 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 34).

Ogłoszenia Warszawskiej Spółki Myśliwskiej

na II-ej stronie.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W lutym wolno polować na: dziki, łosie (byki), sarny (rogacze), i na ptactwo przelotne, o ile się ono zjawi; do 1 (14) lutego na jelenie (byki), a do 15 (28) lutego na zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy i dropie.

Łunacya w lutym.

Pierw. kw. d. 1, o g. 1 m. 55 pp.
Pełnia d. 9, o g. 9 m. 10 r.

Wschód i Zachód Słońca

w lutym

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	7	45	4	43
2	7	44	4	45
3	7	42	4	47
4	7	40	4	49
5	7	38	4	50
6	7	37	4	52
7	7	35	4	54
8	7	33	4	56
9	7	31	4	58
10	7	29	5	0
11	7	28	5	2
12	7	26	5	4
13	7	24	5	6
14	7	22	5	8
15	7	20	5	10
16	7	18	5	12

Z handlu zwierzyną.

W ostatnich dniach w Warszawie w składzie Adama Wiluckiego, dawniej Chruścińskiego, w Gościnnym Dworze 139, płacono ceny następujące:

	Kupowano	Sprzedawano	
Sarnina	—.12 k.	—.18 k.	funt
Zające	—.65 „	1.— „	sztuka
Kuropatwy . . .	—.80 „	1.— „	para
Kacz. dzikie krzyż.	1.20 „	1.50 „	„
„ „ cyranki	—.70 „	1.— „	„
Bażanty koguty .	1.80 „	2.50 „	„
„ kury . .	—.— „	—.— „	„
Dubelty	—.— „	—.— „	„
Słonki	—.— „	—.— „	para
Drozdy	—.— „	—.— „	kopa
Kwiczoły. . . .	9.— „	12.— „	„
Jarząbki	—.90 „	1.— „	„
Cietrzewie . . .	1.20 „	1.50 „	para

Warszawska Spółka Myśliwska

dawniej **B. Ronczewski**

WARSZAWA, Królewska 17, Telefon № 1917.

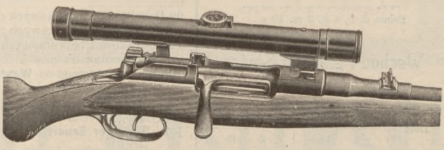
poleca świeżo otrzymane **nowości:**

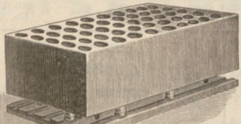
Lebeau - Courally dubeltówki bezkurkowe z eżektorami, **modele wystawowe**, z osobistego zakupu na tegorocznej wystawie powszechnej w Liege. Nadto polecamy wszystkie typy broni Lebeau, ilustrowane w jego katalogu.

Mannlicher - Schönauer magazynki austryackie **większego kalibru 9 m/m**, niezależnie od tychże magazynek kalibru 6½ m/m. Obydwa kalibry tych magazynek są na składzie z lunetami i bez.

Cena magazynki kal. 6½ m/m Rb. 110
„ 9 „ „ 120

Za najnowszą, doskonałą lunetę do Mannlichera, z umontowaniem i dokładnem przystrzeleniem na 100, 200 i 300 metrów Rb. 75.





Przyrząd amerykański do wygodnego i szybkiego nabicia 50 ładunków śrótowych tak czarnym jak i bezdymnym prochem, dla kal. 12, 16 i 20. Cena za sztukę Rb. 4.

Wypróbowany przyrząd ten możemy każdemu myśliwemu polecić





Karabinek Francotte'a systemu **Martini-Francotte** z wyjmowanym zamkiem, do ładunków **bezdymnych 6½ m/m** z kulą całkowicie lub do połowy pokrytą niklem, ze stemplem do czyszczenia, umieszczonym pod lufą. Dokładny i ostry strzał tego karabinka, gwarantowany do 200 kroków, czyni go najodpowiedniejszym do polowań na większe ptactwo i drobnego zwierza. Waga około 5 funtów. Ładunek na rysunku naturalnej wielkości . . . . **Rb. 35.**

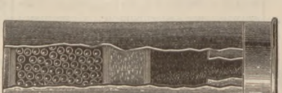
Takież karabinki Francotte'a 6½ m/m w lepszem, wykwintnem wykończeniu . . . . . **Rb. 45 i Rb. 60.**
100 szt. ładunków bezdymnych kal: 6½ m/m o kuli w płaszczu niklowym pełnym, lub do ¾, lub też expansywnej . . . . **Rb 9.**

Gotowe ładunki

dymne i bezdymne

nabite hartśrótem

w kalibrach 12, 16 i 20



posiada na składzie i poleca

Warszawska Spółka Myśliwska

dawniej

B. Ronczewski

Warszawa, Królewska 17. Telefonu № 1917.